

Skarpa (fragment powieści)

Chodził sprężystym krokiem, uwielbiał swoje miasto, które zdawało się puchnąć od towarów, rzeczy zbędnych i potrzebnych, dostawało zadyszki od wciąż zmieniających się szyldów, jakby przeprowadzka objęła wszystko i wszystkich i należało się spieszyć, aby własny kąt do zagospodarowania nie znalazł się na peryferiach. Miał wrażenie, że nastąpiło przenicowanie materii, suburbia weszły do centrum, rozłożyły się na śródmiejskich ulicach i w przejściach podziemnych. Nęciły tandetą, łowiły wzrok przechodniów, łaskotały nosy smrodem smażonych kiełbasek, kebabem, chińskim i wietnamskim jedzeniem na tekturowych tackach.

Wielki bazar, który doprowadzał do szewskiej pasji jego kolegów i zblazowane koleżanki, promieniował energią i wtedy czuł, że pustka, która go wessała, wreszcie ustępuje, że wypełnia się tym chamskim, chaotycznym, nieufadnym życiem.

Nie był naiwny, wiedział, że pierwszy milion trzeba ukrąść, żeby powstał kapitał, wiedział, że gdzieś pod skórą, w sposób jeszcze niewidoczny rodzi się wielkie oszustwo, przekręt, który napełni kieszenie paru zdecydowanych i bezwzględnych facetów.

Wytęskniona, wyczekiwana zmiana nie miała w sobie nic bohaterskiego, nic, co nadawałoby się do idealistycznych westchnień.

Oczywiście cieszyła go „Gazeta Wyborcza” i kolorowe, lakierowane okładki książek, które zapełniły witryny księgarń i uliczne stoiska, podniecał go też i uskrzydlał ruch, skłębiony tłum, zapełnione towarami sklepy bez kolejek, a nawet nowe opakowania i celofan, w jaki otulano kwiaty.

Ania razem z nim odkrywała nęcące uroki straganów; ciągnąc go za rękę, przeciskała się do stolików i polowych łóżek, na których stały kiwające głowami pieski, tęczujące plastikowe węże, biedronki na baterijki, leżały obok siebie gumy do żucia i puchate gumki do włosów. W jej okrzyki: „tata, zobacz, tata, kup mi, ale śmiesznel!”, wdarło się nagle piszczące: „Tata! Monisia!”.

Monisia też zaczęła nowe życie. Bez kompleksów, bez zahamowań rozłożyła polowe łóżko, które utknęło wśród składanych stolików ciągnących się wzdłuż Marszałkowskiej między Świętokrzyską a Królewską.

„Oszałamiający rok królującego śmietnika” – tak to wtedy zanotował: „Niech żyje śmietnik, kolor, impet, a nawet Cycata!”.

– Nie podniecaj się – mówiła Basienka – to dopiero przygrywka, zaraz się zacznie czas luksusu, a wtedy nasze pismo będzie już osadzone na rynku. I nie śmieję się, mówię serio, parę lat minie i zaczną budować rezydencje, wznosić pałace, sadzić parki,

zakładać stawy rybne, może zrezygnują z zamków, zbyt duży koszt i niewygodna, ale eklektyczne pałacyki za warownym murem, nawet otoczone fosą, czemu nie?

Zaśmiał się i opowiedział o studenckiej wyprawie wiodącej od jednej ruiny do drugiej, przez ziemię przemyską.

Zrzucony Krasiczyn, a w nim wspaniałe portale, tarasy, loggie, wieża zegarowa, baszty i podwórce, wielkie, kamienne sale i krużganki. Złupiony przez Szwedów w czasie Potopu, sto lat później rozbity przez wojska rosyjskie i kozackie, to był rok 1726, mija kolejne sto lat i wybucha wielki pożar, znów odbudowa i wreszcie II wojna i całkowita dewastacja, nawet sarkofagi w kaplicy zostały zniszczone. Renowacja trwa i trwa i końca nie widać.

– Pięć lat minie i powstanie luksusowy hotel – powiedziała Basieńka – a ceny w nim będą takie, że ci oko zbieleje.

– Zarzeczce – powiedział – całkowita ruina, ocalało trochę lip, jesionów i brzoź, sosnę wejmutkę wycięli. Wysock: tam nic, a podobno szczyt się ten zamek jednym z najpiękniejszych parków. Stubno: niegdyś wysoko podpiwniczony zamek, został w parku miłośrzqb. Sieniawa: rozgrabiona, zresztą, jak sobie to obejrzałem, to wiem, że przy odbudowie nie chciałbym mieć do czynienia z konserwatorem zabytków. Nierealne. Balice: pałac rozebrany do fundamentów w 1945 roku, park wycięto, nie będę wyliczać dalej. Jedyne żywe miejsce to były Bolestraszyce, tam Arboretum i pałac. Piękny łamany dach czterospadowy pobity gontami. Mało ci? Loggie arkadowe, pilastry, sufity kasetonowe, narożne baszty, podcienia i galerie – wszystko diabli wzięli, ślad nie został. Pałace! Też coś!

– Brakuje ci wiary – powiedziała jego przyszła szefowa. – Wiedza się przyda, ale nie sądzisz, że gdy zbyt dużo się wie, to ręce same opadają? Zapomnij. Jak chcesz, mogę się założyć, że za dziesięć, no, może za piętnaście lat to, co jeszcze da się uratować, zostanie odbudowane. Próżność, ambicja i pieniądze działy cuda. Nie lekceważ ludzkiej natury. Ludzkie ciało lubi się stroić i oblekać.

– Wiem – powiedział – materia jest żarłoczna, zachłanna, zagarnia dla siebie wolne miejsca.

Pamięć przywołała łagodne wzgórze nad Sanem, ślady alei biegnących w stronę rzeki, niebotyczne szpalery, w których cieniu odpoczywali. Poczerniała od pożaru sosna z obciętymi kikutami gałęzi, które wznosiły się jak podniebny świecznik, zatrzymała jego wzrok. Dalej ciągnęła się zrudziła trawa, obok wieży, to chyba musiało być w Zarzeczcu, leżał przy krecim kopczyku zardzewiały, ciężki klucz, który być może otwierał, niegdyś istniejące, podwójne dębowe drzwi. Nie podniósł klucza – należał do kreta, nie chciał być kolejnym grabieżcą. Klucz powinien zapaść się w ziemię, coraz bardziej skorodowany rozsypać się po latach deszczu i śniegów. Nie było zamka, który mógłby otworzyć, nie istniało miejsce, gdzie zawisłby na gwoździu. Kroki odbijały się echem po pustym wnętrzu skorupy pałacu.

Łagodne piękno pejzażu, pochyłości nagranych stoków, zapach macierzanki, rozkwitające o zmroku kępy złotych wiesiołków wabiących ćmy, ta spokojna uroda przestrzeni nie miała nic wspólnego z ludzką naturą spragnioną gwałtu, grabieży, krwi,

spopielającego ognia. Myślał o złudzie, o kłamiącym wzroku, który sprowadzał widoki zdające się zaprzeczać wiedzy, o historii, która w czasie setek lat nasączała tę ziemię krwią i użyźniała ją ludzkimi ciałami. Wielki brzuch materii trawił i wydalal szczątki, tworzył nawóz, aby mogły wzrastać idące pokolenia.

Rozłożyli się w Arboretum, ogród był piękny, zadbane, stał pałac i budynki zagospodarowane przez Zakład Fizjografii.

W południowym upale czas stanął i wtedy mógł się zastanawiać, czy niegdysiejszy właściciel Piotr Michałowski – romantyczny malarz napoleońskich bitew, pięknych koni, zaprzęgów i dylizansów, konnych portretów wodzów i własnej córki dosiadającej wierzchowca – czy ten podróżnik studiujący malarstwo w całej Europie, poznałby dziś to miejsce?

Stąd patrzył na świat, a Semenki i Ksenie pozowały mu do portretów. On na pewno wiedział, czym jest ludzka natura, skoro zaświadczył to na portretach i w batalistycznych scenach, potwierdził szerokimi pociągnięciami pędzla, który malował czułe krowie mordy i lśniące końskie zady.

Zapadały się w otchłań czasu pałace i rody, ginęły wielkie biblioteki i zbiory sztuki, a on musiał uwierzyć, że z tego tłumu straganów, z tej bezładnej mieszaniny tandety zalewającej ulice wygeneruje się siła zdolna budować i stworzyć coś więcej niż łatwy pozór piękna. Mysi zapach ma w sobie to nowe, tak wtedy powiedział, ale Basieńka roześmiała się tylko i pociągnęła go za sobą, bo przecież czekało ich duże łóżko w jej mieszkaniu.

Nie dziwi się, kiedy słyszy znajomy dzwonek do drzwi, wstaje powoli, Junior idzie tuż za nim, jego ogon macha niepewnie, pies jest zakłopotany, nie wie, biedak, czy ma szczekać, czy nie, dom nie jest jeszcze oswojony.

Basieńka też wydaje się zakłopotana, mówi:

– Piękny pies, witaj, śliczny, mogę wejść?

– Dlaczego nie zadzwoniłaś? – pyta. – Przecież mogło mnie nie być i co byś wtedy zrobiła?

– Poczekałabym, a przedtem zadzwoniłabym na twoją komórkę. O jedenastej wieczorem ostatnio bywasz w domu.

Nie chce mu się kłócić ani pytać – skąd wiesz, że ostatnio, i co to znaczy: „ostatnio” bywam w domu, więc stawia przed nią kieliszek, nalewa, a ona nie protestuje, nie mówi, że prowadzi i musi wrócić do siebie, wszystko staje się jasne, pójdą razem do łóżka, a rano będą to mieli sobie za złe, bo coś między nimi znowu zaiskrzy, znów poczują bliskość i jakies pozastowne porozumienie.

– Pij – mówi – i jeśli możesz jeszcze nie gadaj. Puść jakąś muzykę.

Wie, co wybierze, i kiedy zaczyna zawodzić Cohen, a Suzanne odchodzi raz na zawsze, przyciąga do siebie już nie obrzydliwą szefową, ale matką, podstarzałą tak jak i on, nie ma się co oszukiwać, wciąż śliczną dziewczynę. Czuje, że nawzajem siebie pragną, nie trzeba niczego wyjaśniać, teraz się lubią, lubią swoją skórę i zapach, a ona jest ostra i uległa zarazem, a on przestaje myśleć, „bez komplikacji” – mruczy jej do ucha, a ona odmrucuje: „jak zawsze, bez komplikacji”. Jest dobrze i mogłoby

tak trwać, ale nie potrafią już razem milczeć, w ciszę wkrada się skrzępowanie, ona pierwsza przeciąga się i jest jak dawniej kocio zmysłowa, i jeszcze raz Cohen, najnowsza płyta, teraz z orkiestrą i chórkami podśpiewującym, a oni wiedzą, że śpiewającemu potrzebna jest pomoc, zastępa, która ukryje starość, nie tak pewny głos, braki niebędące już zaletą początkującego amatora.

Pełny profesjonalizm, trzeba to szanować, mówi, żeby przełamać milczenie, a ona dotyka go delikatnie, jakby odpowiadała: „nie wysilaj się, nie musisz, przecież czujemy to samo”, szept w jego szyję:

– Lat nam nie ubywa, a jest tak jak dawniej.

Wyczuwa niepewność w jej głosie – musi więc potwierdzić, że jest tak samo, i wierzy w to, kiedy obejmuje swoją kochankę, która poprowadziła go za sobą, nie pozwoliła, żeby osunął się w pustkę. Nigdy jej nie podziękowałem, myśli, ale nie mówi tego, bo przecież nie wypowiadali słów, które mogłyby do czegoś zobowiązywać.

Przypomina mu się koncert, na który zabrał Anię. Cohen śpiewał w Londynie i cudem udało się kupić bilety, i weszli do olbrzymiej sali, a gdy pojawił się na estradzie rozległo się wycie tłumu i oklaski, które nie chciały się skończyć, a gdy zdjął kapelusz i w ukłonie zamiótł nim podium – wrzask rozsadził ściany, a gdy ukląkł i tak, klęcząc, zaczął śpiewać *Suzanne* – wszyscy wstali i zapadła cisza. Łzy ciekły po policzkach czterdziesto- i sześćdziesięciolatek, Ania ścisnęła go za rękę, jego dorosła córka, która wzruszona patrzyła, jak podstarzały śpiewak przywraca młodość jej ojcu. Nie wstydził się wtedy i nie chciał, a może po prostu nie potrafił ukryć uczuć, które pojawiły się razem z muzyką i ochryplym głosem.

– Wiesz – powiedziała Ania już po koncercie, po dłuższej chwili, gdy szli obok siebie, nic nie mówiąc – pamiętam, że jak byłem mała często słuchałeś tej muzyki, a ja się wtedy złościłam na ciebie, bo robiłeś się okropnie smutny. Nie lubiłam jego piosenek, sama nie wiem dlaczego, dziś mi się podobał. To było tak zwane przeżycie pokoleniowe. Tak, tato?

Płyta się skończyła, należałoby puścić coś innego, zrobić jakiś ruch, odczarować tamto wspomnienie i dziesiątki innych, które cisną się i nie dają spokoju, bo obok niego leży kobieta, z którą słuchał wiele lat temu piosenki – pożegnania ukochanej, i przytulała się do niego, tak jak i dziś, nie wiedząc, że to on, a nie Cohen mówi do widzenia swojej miłości.

Nie mogą jednak dłużej leżeć w milczeniu i kiedy Basieńka pyta: „masz jeszcze moją koszulę, nie wyrzuciłeś?”, on może wstać i wyjąć z szafy seledynową mgiełkę, która okryje już nie tak sprężyste piersi, ale ona w przyćmionym świetle będzie miała dwadzieścia pięć lat, a on niewiele więcej, czas na chwilę stanie, aby mogli popatrzeć na siebie przyjaźnie i niemal jednocześnie powiedzieć: „jakoś się trzymamy”.

Wzruszenie ogarnia go ciepłą falą i zarazem myśli, że jest podły, bo ją obgadał przed jakąś nieznaną Olą, że jutro, a może już za chwilę, pomyśli o Basieńce „wstrętna baba”, a gdy czuje, że ją niemal kocha, że jest mu bliska, że znają się na pamięć i jest w tym jakiś cenny dar od losu, wie także, jak bardzo potrafi jej nienawidzić, będąc tak zniewolony. Patrzą na siebie i jest między nimi czułość i porozumienie.

Śmiech rozładowuje napięcie, wiedzą, że czeka ich dobra noc i może rano też nie będzie najgorszy.